

Jak odfałszowywać polską historię za granicą

17 lipca 2015

Problem zakłamywania polskiej historii przez zagranicznych dziennikarzy nieustannie powraca do debaty publicznej, a walka z nim wydaje się bezsilna. Czy jest sposób na efektywne i trwałe rozwiązanie tego problemu? Rozmawiamy o tym z sędzią Jerzym Stępnem, zajmującym się współpracą z autorami anglosaskich podręczników.



– Czy polskie władze prowadzą efektywną politykę historyczną?

– Mam wrażenie, że powinno się uprawiać politykę historyczną tylko na użytek zewnętrzny, w przeciwnym wypadku nie ma to nic wspólnego z obiektywizmem. Polityka historyczna na zewnątrz też niekoniecznie musi być obiektywna, ale jej celem jest pokazanie dobrych stron Polski, naszego kręgu kulturowego. Czy władze robią wszystko w tym kierunku? Zapewne można robić więcej. Dostrzegam jednak działalność Instytutu Adama Mickiewicza, która wydaje się bardzo interesująca, jak i katedr kultury polskiej czy języka polskiego na uczelniach amerykańskich, na przykład ostatnio ufundowanej przez biznesmena Leszka Czarneckiego katedry na Oksfordzie.

– Jak w te działania wpisuje się projekt Recovering Forgotten History?

– Uważam, że jest to program genialny, wymyślony przez kogoś, kto zna doskonale Amerykę, mentalność Amerykanów, rynek podręczników i świat historyków amerykańskich, autorów podręczników i wydawców. Pamiętajmy, że w Stanach Zjednoczonych nie ma czegoś takiego jak ministerstwo edukacji. Prof. Sulima-Kamiński wpadł na genialny sposób, żeby trafiać wprost do autorów anglosaskich podręczników dotyczących Europy Środkowej i Wschodniej. Wykształcenie historyczne uzyskał w Polsce i wyjechał stąd dopiero po doktoracie. Był profesorem na Columbi, w tej chwili wykłada na Georgetown. On właśnie zaproponował program, którego celem jest uprzednie recenzowanie książek ukazujących się na temat Europy Środkowej, Polski albo anglosaskich podręczników dotyczących historii Niemiec czy Rosji osadzonych w kontekście spraw polskich. To bardzo ambitny projekt, który zaczyna przynosić rezultaty. Teraz osiągnęliśmy już efekt śnieżnej kuli – to nie my wyszukujemy autorów, tylko sami wydawcy amerykańscy przysyłają nam rękopisy książek i publikacji do zrecenzowania przez polskich uczonych. Są to najpoważniejsze wydawnictwa – Norton czy Oxford University Press. W tym roku dostaliśmy do zrecenzowania 29 pozycji. Nie byliśmy w stanie ich wszystkich przyjąć, musieliśmy przełożyć wiele rzeczy na następny rok. Mamy nadzieję, że uda nam się zmontować odpowiednie mechanizmy, żeby to sfinansować. Nie musimy już nikogo błagać – mamy nadmiar rzeczy do zrecenzowania.

Każdego roku odbywa się w Polsce konferencja, w której biorą udział autorzy i wydawcy podręczników. Mogą oni konfrontować z polskimi ekspertami treści, które usiłują przekazać w swoich publikacjach. W ramach tych seminariów, trwających około dwóch tygodni, dochodzi do zetknięcia tworzonego w Ameryce obrazu z naszym oglądem. Przy okazji ci autorzy mogą zobaczyć nasz kraj, spotkać się z realnymi ludźmi, politykami, pisarzami, artystami i przede wszystkim polskimi kolegami po fachu. To

jest, jak sądzę, bardzo skuteczna metoda powolnego, długofalowego odbudowywania dobrego wizerunku Polski w oczach Zachodu, a pamiętajmy, że przeciwników mamy bardzo silnych. Trzeba mieć świadomość, ile pieniędzy pakuja nasi zachodni sąsiedzi w politykę zewnętrzną. Prof. Kamiński mówił mi, co się dzieje na uczelniach amerykańskich – na najważniejszych uniwersytetach finansowane są katedry kultury i historii niemieckiej, a także języka niemieckiego. Niemcy fundują stypendia doktorskie, które najczęściej trafiają w ręce Amerykanów – po powrocie do Stanów trochę inaczej piszą oni o swoich dobroczyńcach. Miejmy więc świadomość, że udało nam się w ramach tego programu stosunkowo niewielkimi środkami zacząć trafiać do zagranicznych naukowców i osiągać te cele, o które nam chodzi. Powinniśmy te programy rozwijać i modlić się, żeby prof. Sulima-Kamiński żył jak najdłużej, bo on ma właściwą pozycję w akademii amerykańskiej – jemu się wierzy, ma się zaufanie do jego wiedzy i znajomości rzeczy. To jest w naszym narodowym interesie.

– Pan Sędzia w artykule dla „Rzeczpospolitej” pisze jednak, że od 3-4 lat pojawiają się kłopoty z finansowaniem tego projektu.

– To wynika ze sposobu przydzielania środków na tego rodzaju przedsięwzięcia, na przykład przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Kilka razy z rzędu nasze programy zostały zdyskredytowane z uzasadnieniem, że to nie służy promowaniu polskiej nauki. Na litość boską, chyba służy to przede wszystkim promowaniu polskiej nauki! Jeśli polscy eksperci mają wpływ na to, co piszą w podręcznikach i książkach amerykańscy koledzy, to możemy tylko dziękować, że się na to godzą. System oceniania grantów w konkursach jest moim zdaniem kompletnie niezrozumiały. To jest odwrócenie proporcji – przecież jeśli się organizuje konkurs, to członkowie jury nie wiedzą, kto się do niego zgłosił, ale wszyscy, którzy w nim startują, mają świadomość, kto ich ocenia. Tylko dlatego zresztą się do nich zgłaszają. Polityka

grantowa w Polsce wygląda natomiast tak, że jury nie jest znane, ale bardzo dobrze wie, kto zgłasza granty.

Szczególny przypadek mieliśmy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych – kontaktował się z nami wiceminister Janusz Cisek, który zanim został członkiem rządu, był Dyrektorem Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku, więc dość dobrze znał uwarunkowania amerykańskie. Proszę sobie wyobrazić, że zaprosił nas do ministerstwa i powiedział, żebyśmy nie uczestniczyli w grantach. Obiecał, że stworzy specjalny instrument finansowania tego programu. Bardzo się ucieszyliśmy – konferencje muszą się odbywać w czerwcu, bo tylko wtedy profesorowie mogą przyjechać do Polski. Wnioski konkursowe zaś są rozstrzygane w maju lub w czerwcu, kiedy już dawno trzeba zdobyć w inny sposób pieniądze chociażby na bilety. Ktoś w ministerstwie wreszcie zrozumiał wagę naszego programu. Po jakimś czasie dowiadujemy się, że pan minister Cisek został usunięty z ministerstwa, a kiedy zapytaliśmy, co z naszym projektem, dostaliśmy odpowiedź, że pana Ciska już nie ma, więc wasz program jest już nieaktualny. Od tamtego czasu nie mamy finansowania z MSZ. Podaliśmy to do publicznej wiadomości, ministerstwo chyba się na nas obraziło, więc nie mamy szans na uczestnictwo w konkursach. To są przykre sprawy, ale nie poddajemy się, bo na szczęście coraz więcej osób prywatnych i instytucji, szczególnie biznesowych, rozumie wagę tego programu. Myślę, że z czasem uda nam się stworzyć dla niego jakieś mocniejsze podstawy finansowe bez oglądania się na środki publiczne. Chociaż prawdę mówiąc właśnie tego rodzaju polityka historyczna powinna być uprawiana za te pieniądze.

– Szczególnie, że standardowe sposoby reagowania polityków na fałszowanie historii się nie sprawdza, o czym świadczy chociażby to, że także w zagranicznych mediach bardzo często można zaobserwować sformułowania typu „polskie obozy koncentracyjne”.

– Amerykanin nie za dużo wie o Polsce. Pamiętam, jak pytano

mnie w Stanach, gdzie się ona znajduje. Pierwsza myśl, jaka się nasuwała: między Niemcami a Rosją. A gdzie były obozy koncentracyjne? Tam, gdzie Polska, więc wychodzi na to, że były to polskie obozy koncentracyjne. To nawet nie jest zła wola, tylko nieznajomość rzeczy, lekkomyślność.

Na pewno Niemcom udało się za to odciąć niemieckość od nazistowskich obozów koncentracyjnych. To była długofalowa, bardzo precyzyjna praca, która przyniosła rezultaty. Nie ma niemieckich obozów koncentracyjnych, w najgorszym wypadku są obozy koncentracyjne w Polsce.

– Czy program przynosi już zauważalne efekty? Czy widać różnicę między tym, jak wcześniej traktowano polską historię, i tym, jak się ją teraz odbiera? Jak kształtuje się pogląd na Polskę?

– Jest on coraz lepszy. Wszyscy zwracają uwagę, że nie mówi się już dziś Polnische Wirtschaft (polskie gospodarzenie – przyp. red.), w takim znaczeniu, jakiego używało się jeszcze nawet w latach 50. czy 60. – wiadomo, że musi tu być źle, bo Polacy nie potrafią prowadzić gospodarki, zajmować się ekonomią. Ten mit został rozbity głównie przez naszą transformację i to, co zrobiliśmy – najlepiej świadczy o nas to, co można zobaczyć. Ludzie, którzy są autorami podręczników i książek o Europie Środkowej, przyjeżdżają do nas i widzą tę nową Polskę i, co bardzo ważne, znajduje to odbicie w kolejnych edycjach ich podręczników.

Prof. John Merriman, autor najpoważniejszej na rynku amerykańskim książki o nowożytnej Europie – „A History of Modern Europe. From the Renaissance to the Present”, był tu już trzynaście razy. Przyjeżdża każdego roku, staje się naszym ekspertem. On też zweryfikował wiele obiegowych tez, którymi był nasączony, zanim tu przyjechał. Gdy gościł u nas po raz pierwszy, był zaskoczony, że istniał jakiś renesans za Alpami. Dzisiaj zna Polskę znakomicie i jej wkład we współczesną Europę wygląda według niego zupełnie inaczej. Nie wyzbył się

jednak wszystkich utrwalonych, obiegowych stereotypów funkcjonujących na Zachodzie. Nawet w ostatniej edycji jego podręcznika spotkamy się z tezą, że Piłsudski to pierwszy w Europie dyktator. Możemy mówić raczej, że stworzył system rządów autorytarnych, ale twierdzenie, że był dyktatorem, pachnie nam słownictwem jeszcze z czasów komunistycznych. Myślę, że z czasem, kiedy powstanie Muzeum Józefa Piłsudskiego i gdy zetkniemy go z żyjącymi potomkami Piłsudskiego, być może zmieni swój ogląd rzeczy.

Pamiętam, jakie wrażenie na naszych gościach amerykańskich zrobił Zamość. Wiedzieli, kto to był Jan Zamoyski, ale dopiero spotkanie z autentycznym Zamoyskim (Marcinem, wprowadzie z bocznej linii) spowodowało, że w książce jednego z naszych gości pojawiła się fotografia Zamościa z kilkoma zdaniemami na temat renesansowego, wspaniałego, sztucznego miasta. Weszliśmy na dobrą, skuteczną i stosunkowo taną, choć z pewnością długą drogę.

– Z czego właściwie wynikają błędy i stereotypy w myśleniu o Polsce?

– Dyskredytowanie Polski zaczęło się już w XVIII wieku, jeszcze przed zaborami – trzeba było udowodnić, że jest ona anachroniczna i potrafią to robić. Katarzyna II przekupywała Voltaire'a i francuskich intelektualistów, żeby pisali źle o naszym kraju. Na szczęście Jan Jakub Rousseau jakoś ustrzegł się tych negatywnych wpływów. Później państwom zaborczym zależało na tym, żeby uzasadnić rozbiory. Komuniści też zawsze próbowali dyskredytować Polaków, od 1933 roku rozpoczęto tego typu zabiegi również w Niemczech.

Wiemy także, że Akademia Amerykańska generalnie jest w gruncie rzeczy zdominowana przez naukowców o myśleniu lewicowym, o wielkich sympatiach dla Rosji, także Sowieckiej. Oni do dzisiaj nie bardzo się potrafili wyzwolić z zauroczenia tą alternatywą dla dzikiego kapitalizmu, w którym przyszło im żyć w Stanach Zjednoczonych. Wydawało im się, że Rosja Radziecka

jest właśnie tą alternatywą, rajem utraconym. Sam pamiętam Amerykanów z lat 60., którzy przyjeżdżali do Polski, bo byli przekonani, że tu mówi się po rosyjsku. Planowali dalszą podróż, chcieli się poduczyć tego języka, żeby następnie pojechać do Związku Radzieckiego i wreszcie zacząć żyć jak ludzie. Wracali po pół roku kompletnie wyleczeni z tej fascynacji. Do dzisiaj Akademia Amerykańska się z niej nie wyzwoliła.

Stereotypy wynikają chyba jednak najczęściej z ignorancji, nie ze złej woli. W Stanach Zjednoczonych nawet Polak ma trudności z postrzeganiem reszty świata. Amerykanin jest tak skoncentrowany na swoim kraju, że w zasadzie wszystko to, co się dzieje poza jego granicami, staje się dla niego jakąś egzotyką. Na inne miejsca zwracają uwagę dopiero wtedy, gdy wybuchnie tam pożar, wojna, bomba lub przeprowadzony zostanie zamach terrorystyczny.

– Jak w takim razie wpłynąć na to środowisko i zmienić jego wyobrażenia o Polsce i jej historii?

– Uważam, że główną rolę odgrywa tu edukacja. Do społeczeństwa amerykańskiego należy kierować bardzo precyzyjne, punktowe działania. To jest ten amerykocentryczny sposób widzenia świata i powinniśmy po prostu nauczyć się do niego trafiać. Olbrzymie znaczenie mogą mieć poczynania artystów, którzy są wysoko oceniani na przykład jako twórcy filmowi czy muzycy. Dla odpowiedniej promocji Polski bardzo wiele zrobił Penderecki, Lutosławski czy nawet Włodek Pawlik, który zdobył Grammy w zeszłym roku. To są działania, które naprawdę robią na Amerykanach wrażenie. I pamiętajmy, że polskich autorów nikt nie będzie czytał w Ameryce. Jej mieszkańcy mają zaufanie do swojego świata naukowego, do własnych uniwersytetów i autorów. Miejmy tego świadomość – my się tam nie przebijemy, szczególnie z książkami pisanymi po polsku. Amerykanin nie czyta po polsku.

– A co Pan Sędzia sądzi w takim razie o pomysłe wytaczania

procesów przez państwo polskie za użycie w prasie sformułowania „polskie obozy koncentracyjne”?

– Może trzeba to robić, ale nie sądzę, żeby to była skuteczna droga. Amerykanie kochają procesy, jest ich w Stanach strasznie dużo. Boję się, że one po prostu zginą w masie tych, które naprawdę interesują mieszkańców USA. Znacznie bardziej ich uwagę zwróci ich rodak, który zaprotestuje przeciw kłamliwemu artykułowi, który działa w gruncie rzeczy na ich szkodę. Gdy Polak zaprotestuje przeciw kłamliwej informacji na temat Polski, nie ma to większego odzewu, lecz jeśli zrobi to Amerykanin w publicystyce w dobrych gazetach lub popularnych kanałach telewizyjnych, ma to olbrzymie znaczenie dla opinii publicznej w Stanach.

– **W związku z wyborem nowego prezydenta nasza redakcja przeprowadza akcję, która podejmuje dyskusję na temat polskiej polityki historycznej. Czy mógłby Pan Sędzia doradzić, jakie kroki mógłby on zrobić w tym kierunku? Czym powinien się zająć w pierwszej kolejności?**

– Z mojego punktu widzenia dobrze by było, żeby prezydent objął patronatem nasz program Recovering Forgotten History. Myślę, że przede wszystkim powinno się nagradzać obcokrajowców, którzy robią coś dobrego dla Polski – artystów, polityków, autorów czy publicystów. Trochę nie doceniamy odznaczeń państwowych, za to Amerykanie bardzo je cenią. Poza tym mamy też świadomość skali – Amerykanin ma właściwie zerową możliwość zetknięcia się ze swoim prezydentem czy parlamentarzystą. Pamiętam, jakie wrażenie robiło na zaproszonych amerykańskich profesorach to, że poszliśmy do Sejmu i spotkaliśmy się z Wicemarszałkiem Sejmu i Marszałkiem Senatu. Sądzę więc, że dobrze byłoby, gdyby prezydent elekt robił jakieś otwarte konferencje, spotkania z ludźmi wpływowymi, mającymi sympatie polskie.

Wszelkie działania obcokrajowców dla dobra Polski powinny być błyskawicznie zauważone i nagradzane. Powinniśmy się tego

uczyć na przykład od Francuzów. Czasami ma się wrażenie, że nawet zbyt często posługują się Legią Honorową, ale to skuteczna metoda. Każdy chce być tym Kawalerem Legii Honorowej. Wydaje mi się więc, że trzeba przede wszystkim wyłapywać, nagradzać wybitnych ludzi, robiących coś dobrego dla naszego państwa, stwarzać odpowiednie warunki do tego, żeby mogli być dostrzeżeni także w Polsce. W ten sposób wzrośnie ich pozycja w ich kraju, a przy okazji zapewni to promocję naszego kraju.

Z Jerzym Stępnem rozmawiała Agnieszka Woch

Zdjęcie: Jarosław Kruk

Źródło: Histmag.org

Licencja artykułu i zdjęcia: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)